

Ród Damięckich w Polsce jest jednym z tych, w których tradycja teatru przechodzi już do 3 pokolenia. Dobiesław „Damian” Damięcki, mąż aktorki Ireny Górskiej-Damięckiej był ojcem Damiana i Macieja. Starszy z braci, Damian, został ojcem Grzegorza Damięckiego, a Matylda i Mateusz są dziećmi młodszego z braci, Macieja.

Zatrzymajmy się przy losach małżeństwa Damięckich w latach II wojny światowej, przedstawionych w pamiętniku Ireny „Wygrałam życie”, (Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 1997). To nie tylko ich losy – to droga aktorów scen polskich pod okupacją Niemiecką.

[red.]

Czarne noce

Ireña Górską-Damięcka

Był rok 1939. Opuściłam teatr Buffo, skorzystałam z zaproszenia i od początku sezonu, to znaczy od września, zaangażowałam się do Teatru Polskiego, do Szyfmana. Chciałam być razem z mężem.

Pojechaliśmy na urlop do niedalekiego Buczynka, spotkaliśmy paru przyjaciół Dobiesława. Nikt w zasadzie nie wierzył w wybuch wojny. Strachy na Lachy! Bo jeżeli nawet, to Hitler w parę dni dostanie w kuper i znowu wszystko wróci do normy, znowu będziemy grać, chodzić do kin, do kawiarni, na dancingi...

Po udanym urlopie wróciliśmy do Warszawy, na Ludną. Pierwszego września usłyszeliśmy jakieś detonacje. Wyszliśmy oboje na balkon. Ku naszemu zdziwieniu na Warszawę leciały bomby!

Zagraliśmy jednak premierę „Serca w rozterce” przy paru widzach i personelu teatru na widowni. W nocy Teatr Letni w Ogrodzie Saskim spłonął. Już nie można się było ludzić. Zaczęło się! Szóstego września rano narada aktorów w podziemiach Teatru Narodowego, żeby przyjąć jakiś wspólny front, żeby ocalić teatr i aktorów. A ponieważ rozporządzenie władz miasta – ściśle apel pułkownika Umiaszowskiego – polecało opuszczenie Warszawy przez ludność cywilną, Damian miał wyprowadzić grupę aktorów.[...]

Wróciliśmy do Warszawy. Smutny i przełajający zastaliśmy widok. Nasze mieszkanie na Ludnej cudem ocalało, wróciliśmy więc do domu. Był to wielki prezent od losu.

Trzeba jednak było organizować życie od nowa, żeby przeżyć...

Na czele organizującego się ogniska aktorów polskich stanął Bronisław Dardziński, były członek Zarządu Głównego ZASP. Przy Miodowej 21, w jakiejś opuszczonej stołówce, Jerzy Sulima-Jaszczołt, Klemens Roman, Apolinary Possart, Leon Pietraszkiewicz, Wacław Kucharski, no i przede wszystkim Zbyszek Koczanowicz, zorganizowali stołówkę aktorską.

Podziemny już wtedy ZASP uchwalił bojkot rejestracji aktorów. Prasa podziemna wzywała do bojkotu widowisk teatralnych, wszelkiego rodzaju koncertów, rewii i kin. Hasło brzmiało: „Tylko świny siedzą w kinie”. Tolerowane było jedynie chodzenie na sporadycznie wyświetlane polskie filmy przedwojenne, głównie komedie.

Zaczęły też powstawać kawiarnie obsługiwane przez aktorów. Schiller grał w „Boccacciu” na fortepianie i śpiewał piosenki. W „Napoleonce” podawali Maria Bogda i Adam Brodzisz, w „Znachorze”, w „Gospodzie Włóczęgów”, w „Cafe Jarcza” podawali aktorzy o wspaniałych, zasłużonych nazwiskach. „U aktorek”



Rodzina Damięckich w komplecie. Łódź 1946 r.

niesienia pomocy w każdej chwili. W tramwajach sypały się dowcipy na temat okupanta, pobrzmiwała zakazana piosenka... Tramwaj był symbolem cwaniackiej, ale bohaterkiej Warszawy, był ulotną gazetką i komentarzem codziennych wydarzeń.

W mgnieniu oka zorganizowało się Podziemie. Powstała Armia Krajowa. Wszystkie akcje sabotażowe, dywersyjne, sądy, wyroki, akcje odwetowe za okrucieństwo, za balkony obwieszane niewinnymi, za tysiące masowych grobów, za piec gazowe, za tortury, za obozy, za zwalone Kolumny Zygmuntów!... Masowo działały prymitywne stacje nadawcze, wychodziła prasa podziemna, zawiązywały się tajne organizacje.

Damian dwoił się i troił, zajęty sprawami podziemnego ZASP-u i aktualnymi potrzebami aktorstwa. W sprawach „zasypowych” pomagał mu niejednokrotnie Henio Borowski, delegowany przez nasz związek. Damian wysiadywał portki w instytucjach charytatywnych, by zdobyć choćby najmniejszą zapomogę, przydział jakiegś budki z węglem, jakiegoś warsztaciku dla tych najsłabszych, najbezradniejszych, a nawet dla tych łamliwych, często obarczonych rodzinami. Zdobywał przydziały opału, dodatkowe racje żywności, odzieży, pamiętał o każdej prośbie, o każdej potrzebie. A że

robił to odważnie i jawnie, był wciąż pod lupą okupanta. Wszyscy znali poza tym jego bojową przeszłość i jego poczucie obowiązku społecznego. Był lubiany i szanowany za wiedzę, rozum, błyskotliwy humor i dowcip, za skrytalizowane poglądy, za trafne oceny polityczne. A że był też nieostrożny, zwłaszcza po pijaku; dochodziło do licznych starć, między innymi na terenie Teatru Polskiego, z Symem. Rąbał w oczy to, co myślał, nawet najbardziej „dostojnym”, najbardziej niebezpiecznym agentom, szujom, dla których żywił nie ukrywaną pogardę.

Wizytowaliśmy, tajnie oczywiście, teatry i kina, żeby stwierdzić obecność na scenie lub ekranie aktorów-kolaborantów. Ja również bywałam delegowana. Oglądałam przez chwilę jakąś operetkę czy komedię, na przykład „Papa się żeni”. Niestety, widziałam kolegów, i to nieraz bardzo szacownych.

Na „Heimkehr” byłam z Damianem. Bogusław Samborski grał tam polskiego wojewodę „niemcożercę”. Wcześniej Damian odbył z nim kilka rozmów ostrzegawczych. Tłumaczono, proszono – nic nie pomogło. Uwierzył w zwycięstwo Hitlera i podpisał kontrakt z Igo Symem, który werbował aktorów polskich do tego obrzydliwego, oszczerczego filmu. Kilku udało się uratować. Ale kilku widzieliśmy w tym łajdackim filmie, choć nie w tak eksponowanych rolach jak Samborskiego. Tajna komisja przygotowywała i gromadziła materiały dowodowe, mające później posłużyć sądowi weryfikacyjnemu, już po wojnie.

Pewnego dnia przypadkiem spotkałam na ulicy panią Annę Marię Kitschmann, zwaną Andą lub po prostu Kitschmanką. Śpiewałam z nią piosenki w Buffo. W rozmowie zaproponowała wspólne występy w kawiarni, powierzając mi cały swój piosenkarski dorobek z przedwojennych kabaretów. Trwało to moje śpiewanie do 6 marca 1941 roku. 7 marca zastrzelony został Igo Sym.

Któż to był Igo Sym?

Piękny mężczyzna, wytworny, nienaganie ubrany. Kręcił wiele filmów. Występował w operetkach, kabaretach, rewiach. Sympatyczny, koleżeński, uczynny, obyty, wykształcony, a więc powszechnie lubiany. Objechał wszystkie stolice świata, a osiadł właśnie w Warszawie! Odwiedzał najbardziej ekskluzywne lokale, zawsze otoczony rojem pięknych kobiet. Nie wzbudzał nigdy żadnych podejrzeń. Tym bardziej, że podczas oblężenia pracował w Straży Obywatelskiej, wydobywając rannych spod gruzów, a nawet sam został ranny. Następnie [pracował] jako tłumacz w magistracie, potem w wojskowej komendanturze rejestracji samochodów. Wtedy dopiero zaczęto zastanawiać się, przeprowadzać wywiady, które nie potwierdzały jednak podejrzeń. Dopiero gdy w 1940 roku został mianowany dyrektorem teatru niemieckiego i... Teatru Miasta Warszawy, gdy stał się stałym gościem gubernatora Fischera i dyrektorem kina „Helgoland” na Złotej oraz teatru Komedia na Kredytowej, wszystkim nagle otworzyły się oczy. **Od dawna był konfidentem Gestapo i niemieckim szpiegiem.** Zaczęto się go bać.

Byłam już w piątym miesiącu ciąży. Oboje z Damianem cieszyliśmy się. Uradziliśmy, że dziecko dostanie imię Damian – pseudonim Dobiesława.

W marcu stało się: Sym zarządził remont sceny i piwnic Teatru Polskiego. Zatrudnieni przy tej robocie byli oczywiście Polacy. Damian poszedł na budo-

wę i po krótkiej przemowie, zawstydzając Polaków, że dobrowolnie pracują dla Niemców, u szubrawca, szpicla Syma, rozpełdził ekipę robotników. To był niewątpliwie incydent, decydujący o dalszym postępowaniu Niemców wobec Damiana. Zrobiła się afera. Sym szalał.

7 marca 1941 roku z wyroku Sądu Wojskowego Polski Podziemnej Igo Sym został zastrzelony. 8 marca rano Damian przeczytał głośno w szmatławcu zawiadomienie o „strasznej zbrodni” Polaków i wzięciu przez Niemców w odwecie dużej liczby zakładników.

Przyszła do mnie Wanda Wróblewska; miałyśmy iść do krawcowej. Pobiegłam do sąsiadki, żeby umówić się telefonicznie z krawcową. Sąsiadka potwierdziła wiadomość o zabójstwie Syma. Czym prędzej wróciłam do siebie i powiedziałam

Urząd Okręgu Warszawskiego

ROZPORZĄDZENIE

Dnia 7. marca 1941 r. rano w mieszkaniu własnym zastrzelony został przez Polaka Niemiec

IGO SYM

Kierownik Teatru Miasta Warszawy.

W związku z tą ohydą zbrodnią zarządzam dla obszaru miasta Warszawy co następuje:

- 1) Aresztowanie większej ilości zakładników.
- 2) Natychmiastowy zakaz wykonywania produkcji artystycznych w polskich teatrach, wioskach, zakładach gastronomicznych i wszystkich innych lokalach rozrywkowych do dnia 1 kwietnia br. włącznie.
- 3) Ustala się godzinę policyjną dla Polaków aż do odwołania na godzinę 20-tą do godziny rano.

Jeżeli w przeciągu 3-ech dni nazwisko zbrodniarza nie będzie ujawnione Władzom Niemieckim, zakładnicy będą rozstrzelani.

Rozporządzenie wchodzi w życie z chwilą ogłoszenia.

(—) Dr. FISCHER
Gubernator

Warszawa, dnia 7. marca 1941 r.

Rozporządzenie gubernatora Fischera o represjach po zamachu na Igo Syma.
„Nowy Kurier Warszawski” z 7 III 1941 r.



Obwieszczenie SS-Gruppenführera Modera o rozstrzelaniu zakładników

o tym Wandzie, która natychmiast poszła do domu, a ja do ZASP-u, do Damiana. Nie zastałam go już. Dowiedziałam się tylko od sekretarki, że Damian był i prosił o przekazanie wiadomości – jeżeli przyjdę – że jest u Wróblewskich. Za chwilę przyszła Wanda z Wackiem Zagórskim-Heltmanem. Trzeba się ewakuować. Ja uparłam się, że muszę zabrać z Ludnej parę niezbędnych drobiazgów. Poszliśmy więc we trójkę na Ludną.

Tknięta niepokojem, że mogę już więcej tu nie wrócić, zabrałam szczotki do zębów, mydło, ręcznik, jakiś kaftanik i parę pieluch dla dziecka – ile mogło się zmieścić w mojej dużej mufie. Wszyscy troje poszliśmy z Ludnej prosto do Andrzejów. Jeszcze tego dnia Buzia Rozwadowska z Janką Pollakówną zdążyły pośpiesznie sprawdzić, czy nie zostawiliśmy czegoś podejrzanego – i już były śledzone z okna stróżówki. Dwie godziny potem poszła na Ludną Gallowa. Zadzwo-

niła, drzwi otworzył jej agent niemiecki; została zatrzymana. W domu był już kocioł.

Mieszkanie Basi Reńskiej, u której mieszkali Wróblewscy, było miejscem licznych narad, spotkań, dyskusji, planowania sposobów chronienia zagrożonych ludzi, w tym aktorów i pracowników teatrów, oraz narad nad planowaną przez Niemców rejestracją aktorów.

Schiller, Pietraszkiewicz, Reński i Heltman... Kogo najpierw ratować, na kogo w pierwszym rzędzie może paść podejrzenie? Przecież Niemcy na pewno zechcą wykorzystać sytuację, by wygubić jednostki stojące na czele ruchu. Urządzono więc, że w pierwszej kolejności należy ukryć nas oboje, że najbardziej podejrzany jest właśnie Dobiesław Damięcki.

Innym znanym aktorom zakazano nocowania w domu. Ucieczka Schillera za granicę nie wchodziła w rachubę – mogłaby pociągnąć za sobą aresztowanie następnych stu mężczyzn. Schiller przystał tylko na propozycję chwilowego ukrycia i nie nocowania w domu. Natomiast Jaracz odmówił i tego; stwierdził, że jego twarz jest zbyt charakterystyczna i za dobrze znana publiczności teatralnej, że wszelkiego rodzaju dezercja nie ma sensu. Damian miotał się po pokoju wściekły – nie znosił zamknięcia, niewoli.

Po trzech dniach siedzenia u Andrzejów, jedenastego marca, dostaliśmy szmatławiec z artykułem „Jak zginął Igo Sym”, z którego wynikało, że zabójcą jest Polak. Zaczęły się rewizje. Godzina policyjna od dwudziestej do piątej rano, wzięto stu zakładników, dwudziestu jeden z nich rozstrzelano w Palmirach na rozkaz Fischera. Wśród aresztowanych nie było, o dziwo, aktorów.

Andrzej z Wackiem Heltmanem przenieśli nas na Bielany, do Guli Buczyńskiej. Ledwo zdążyliśmy przenocować, wbiegł ktoś zdyszany. „Jedzie Gestapo!” – krzyknął i zniknął. Jechali chyba w jakimś

innym celu, bo przecież gdyby weszli, Gula byłaby niechybnie aresztowana. W każdym razie zdążyliśmy się wymknąć.

Na Bielanach – nie pamiętam już ulicy – domeczek piętrowy, chyba willa; na piętrze mieszkała Basia Kostrzevska z mężem, a na parterze mój „Dziad”, wuj matki, Bielski. Więc oczywiście do niego. Bądź, co bądź rodzina! Będziemy bezpieczni. Tym bardziej że „Dziad” zakochany zarówno we mnie, jak i w Damianie.

Cieszył się z naszego przyjścia, jak i z wiadomości, że zostanie „Pradziadem”. „Babka”, druga żona „Dziada”, drobna, urocza, gościnnie, kochała nas naprawdę.

Ranek. „Dziad” prosi o gazetę. Damian rzuca niby żartem:

– A co by było... gdyby tak... list gończy?!

– List gończy? Dlaczego?

Śmieliśmy się, nikt z nas nie potraktował poważnie tej wypowiedzi. Dziewczyna przyniosła gazety... chwycił je Damian i po chwili:

– Patrz!

Odwrocił gazetę w moją stronę. List gończy z fotografiami, które stały na szafce w naszym pokoju.

Trzynasty marca 1941 roku.

Podejrzany o współdziałanie w zbrodni na osobie Kierownika Teatru Miasta Warszawy, Karola Juliana Syma, jest ukrywający się od 7 III 41 r. czterdziestodwuletni aktor Dobiesław Damięcki. W towarzystwie Damięckiego znajduje się w poważnym stanie aktorka Janina Górka. Za informację prowadzącą do ujęcia mordercy wyznaczono nagrodę w wysokości trzech tysięcy złotych.

Zaniemówiliśmy. „Dziad” woła o gazety. Nie było rady, trzeba było mu je podać. Czekamy... Nagle histeryczny krzyk starca:

– Proszę natychmiast opuścić mój dom!

Krótką naradą. Natychmiast telefon do Wróblewskich. Odpowiedź: „Zaraz przychodzimy”. Mijały długie, nieznosne godziny



Irena Górka-Damięcka

przy nieustannym akompaniowaniu histerycznego krzyku starca: „Proszę natychmiast wyjść z mojego domu! Ja tu nie chcę mieć Gestapo!” A my musieliśmy czekać, bo trzeba było zorganizować ludzi do przerzutu. O dziewiętnastej przyszli Andrzej z Wackiem.

Dziewięć kwater

Basia Reńska, z fałszywymi dokumentami, organizatorka „Piątek teatralnych” [Grup, złożonych z pięciu aktorów, wspierających AK – red.] ofiarowuje nam schron. Nim doszliśmy na Żoliborz, wybiła godzina policyjna. Stanęliśmy pod bramą, już zamkniętą, domu, gdzie jest obecnie kino „Wisła”, przylepiając się do murów, bez dokumentów oczywiście, czekając, że może jakieś życzliwe okno uchyli się i ktoś szepnie: „Zaraz otwieram, czekajcie”. Byłam zupełnie spokojna i trzeźwa. Zgrzyt klucza w bramie...

– Wchodźcie.

Była to pani Dubois, żona Stanisława Dubois, współtowarzysz powstańców czasów Dobiesława. Byliśmy uratowani, ale tylko na jedną noc. Właścicielem tej kwatery na pierwszej kolonii żoliborskiej był felczer; nie znam oczywiście nazwiska. Następną noc spędziliśmy u pani Jadwigi Turowicz. Tam też, zawiadomiona przez Wacława Modrzeńskiego, przybiegła Zosia Małynicz.

Następna kwatera była u pani Laksy Osin-skiej – fotografki, gdzie zrobiono nam zdjęcia do fałszywych kenkart. Zaczęto tuczyć Damiana, każąc mu leżeć całymi dniami i... jeść słone! Jak on to wytrzymał, jest dla mnie zagadką do dziś. Tam też przyprowadzono zaufanego fryzjera. Fryzjer ów, zobaczysz Damiana, struchlał, jakby zobaczył samego diabła; ze strachu nie strzymał – nie chcę się wyrażać – i uciekł. Tak więc zostaliśmy nie ufarbowani.

U pani Turowicz przydzielano mnie w nierzucający się w oczy czarny płaszczyk gospodyni. To Zosia Małynicz zatroszczyła się o mój wygląd zewnętrzny, zmywając starannie makijaż i czesząc głazdziutko, z przedziałkiem, układając włosy w skromny koczek. Damian został aż do skutecznej zmiany warunków zewnętrznych na miejscu, mnie przeniesiono na inną kwaterę. Gdzie? Nie wiem.

Następowały szybkie zmiany kwater. Przewożono mnie dorożką, często po godzinie policyjnej, z rozkładanym łóżkiem, z tobołem pościeli, a nawet... z wesołą piosenką. Czasem przeprowadzano wręcz w biały dzień, pieszko. Przechodziłam wielokrotnie obok plakatów pościgowych, mijałam własne mieszkanie na Ludnej, widząc w oknach gospodarujących gestapowców, spotykając konfidentów. Kiedyś jeden z nich, znany powszechnie bywalec „Cafe Jaracza” siedział wprost na mnie; zatrzymał się nos w nos, spojrzał w oczy, choć miałam twarz zasłonię-

tą krepą, popatrzył... Oczywiście poznał... Minał i poszedł dalej... Udało się znów. Nie zadenuncjował.

Wiele szczegółów umknęło z pamięci po tak wielu już latach, ale parę pamiętam. Gdzie to było – też nie wiem, i to nie to, że nie pamiętam, ale myśmy nigdy nie wiedzieli, u kogo jesteśmy i pod jakim adresem. A przewożono nas przeważnie nocą. Gospodyni mieszkania ostrzegła mnie: – *Jeżeli usłyszysz pani stuk butów we drzwi, to Gestapo. Wtedy wyjdzie pani przez okno, przedzie pani na balkon, tam leży dywan, zawinie się pani w ten dywan i będzie spokojnie czekała, aż Gestapo wyjdzie.* – Spokojnie! I jak to zawijanie się, miała wykonać kobieta ciężarna – nie wiem. Na szczęście do tego nie doszło.

Był wieczór. Siedzę na stołeczku w kuchni, żeby ukryć na wszelki wypadek znaczną już ciążę i obieram kartofle. Wchodzi kilkoro roześmianych młodych ludzi, którzy w sąsiednim pokoju urządzili sobie potańcówkę, przy głośnym patefonie. Gospodyni beztrudno przedstawia mnie: – *A to jest właśnie pani Irena Górska, żona Dobiesława Damińskiego, poszukiwana listami gończymi, która się u mnie ukrywa.* Na drugi dzień rano przewieziono mnie na inną kwaterę.

Ileż razy, zamknięta na klucz, przeżywałam ciężką godzinę, tłumiąc oddech, gdy za ścianą dudniły podkute buty żandarmskiego patrolu. Zdarzało się również, że mimo nakazu otworzyłam drzwi biedakowi uciekającemu przed pogonią. Odczekał parę godzin, został nakarmiony, przeparty i szedł szukać bezpieczniejszego schronu.

I znowu nowa kwatera. Pani domu wyszła, zostałam sama w mieszkaniu. Wieczór. Zapowiedziano mi, że mam nikomu nie otwierać. Nagle dzwonek! Zrazu nieśmiało pukanie, potem coraz natarczywsze. W obawie, żeby nie zlecieli się zaniepokojeni sąsiedzi, podchodzę do drzwi.

– *Kto tam?* – pytam szeptem i spoglądam przez judasza. Widzę po drugiej stronie wielkie wytrzeszczone oko. Ktoś chce mnie nastraszyć i robi głupi kawał albo jest autentycznie przerażony, pomyślałam.

– *Kto tam?* – ponawiam pytanie.

– *Swoj!*

Oko dalej tkwi w wizjerze. Może to ktoś, kto nie ma gdzie się skryć? Gospodyni nie ma w domu.

– *Proszę prędzej otworzyć.*

Utwierdzam się w przekonaniu, że znów jakiś ścigany potrzebuje pomocy. Zbieram się w sobie i otwieram, ale nie spuszczaam drzwi z łańcucha. Przeraziłam się. Jakieś bardzo podejrzanego indywiduum stoi przede mną. Straszny, gruby, zwalisty, w jakiejś dziwnacznej mycce na głowie, z nędznym szalikiem owiniętym wokół czerwonego karku, zarośnięty.

– *Czego pan sobie życzy?* – szepczę przez szparę. – *Gospodyni wyszła.* – Chwila milczenia.

– *Nie poznajesz?* – pyta, najwidoczniej zadowolony. – *To przecież ja!* – Damian! Zmieniony, rzeczywiście, nie do poznania! Cel został osiągnięty.

Kwater w Warszawie przez półtora miesiąca zmieniłam dziewięć. Dobrze pamiętam tę ostatnią. Tu byliśmy już razem. Właścicielem był kapitan AK, piękny mężczyzna; jego żona – nieduża, cicha, przeurocza pani, miała aż nadto widoczne semickie rysy. Grałam tam rolę oczywiście służącej.

Był to jeden z wielu ważnych punktów AK. Czego tam nie było! Stacja nadawczo-odbiorcza, maszyna szyfrowa, bibuła... I my, wciąż bez dokumentów. Była Niedzieła Palmowa, kwiecień 1941 r. Zestawiono stoły, wokół kupa bezimiennego ludu, towarzysztwo jak najbardziej trefne. Studiowali właśnie ostatnie doniesienia prasy podziemnej, gdy w drzwiach stanął dozorca.

– Gestapowski wóz wywahał radiosta-

cję... Otaczają kamienicę... Panowie, wiać!

Zniknęli wszyscy w mgnieniu oka. Ludzie mieli to już we krwi. My zdążyliśmy zasłonić otwartą białą skrzynię pełną bibuły takimiż białymi deskami. Damian zebrał rozrzucone gazetki ze stołu i ledwie je zdążył zakręcić w rulon i zmiąć, gdy weszło trzech w cywilu i jeden w mundurze. Ten stanął w drzwiach. Wyciągnął papierosa. Damian zbliżył do ognia od niechcenia zwinięte gazetki i... podał gestapowcowi ognia, szwargocząc z nim wesoło po szwabsku, reszcie nie dopalonego papieru pozwalając spłonąć w rękę. Mieszkanie zostało przewrócone do góry nogami, powywelekana bielizna i ubrania z szaf, rozbita muszla klozetowa, wylana zupa z garnka. Nie zajrzeli pod łóżko, gdzie był właz do piwnicy z radiostacją. Nie zwrócili uwagi na szyfry, zasłonięte serwetką zaledwie. Nie zauważyli tej białości bijącej w oczy skrzyni, nie zapytali o kenkarty... Poszli. Długo nie mogliśmy się pozbierać. Staliśmy, nie mówiąc do siebie ni słowa. Dlaczego tak się właśnie stało? Wbrew logice utartego już, wypraktykowanego postępowania Gestapo? Co im zaćmiło oczy? Kto z nas miał władzę ocalania? Może właśnie to dziecko, które nosiłam pod sercem?

Szukano nas w całej Guberni Generalnej, przetrząsano pociągi, urządzano obławę na dworcach, a zwierzyzna, która była przecież pod ręką – jak szczerzy psami zajął w lesie – wciąż się wymykała!

Po tej fatalnej Niedzieli Palmowej – to już za sprawą Edmunda Reńskiego i Andrzeja Wróblewskiego – zapakowano nas do pociągu. Kierunek Ostrowiec Świętokrzyski. Ja w czerni, w welonie na twarzy, jechałam trzecią klasą. Damian zaś, w przebraniu roboczym – pierwszą! Znowu paradoks. W eskorcie byli przecież Żydzi i „żandarmi”, spacerowali między ławkami, czujni na każde niebezpieczeństwo, oraz główny szef prze-

rzutu – wójt gminy Częstocice – Kazimierz Baran. I aż trudno w to uwierzyć, wciąż bez dokumentów, z osiemdziesięcioma złotymi w kieszeni, dowieziono nas do celu i przekazano pod opiekę ludzi z konspiracji.

Pisze Edmund Reński:

W dniu ustalonego przyjazdu Górskiej i Damięckiego do Ostrowca znajdowałem się, pozorując wykonywanie pomiarów, na ulicy przed biurem Zakładów Ostrowieckich. Od strony dworca przejechała w kierunku Szewny drożka, byli w niej Bojanowscy (Damięcy) i towarzyszący im w podróży Kazimierz Baran. A więc dojechali szczęśliwie.

Natychmiast przerzucono nas do Częstocic. Zamieszkaliśmy u państwa Modliboraków w Olszówce. Dziesiąta kwatery. Na pozór był spokój, zdawało się że wreszcie jesteśmy bezpieczni. Ale w czerwcu, kiedy ciąża zbliżała się do rozwiązania, gospodyni wymówiła nam kwatery. Jakie były motywy tej decyzji, nie wiem i nie chcę dociekać. Zebrałam swój dobytek i pieluchy w wózek i wyszliśmy na drogę, zastanawiając się, co dalej... Damian, pełen jak zwykle fantazji, humoru i wiary, zdecydował:

– *Czekaj tu, poszukam jakieś nory* – Siedziałam tak i siedziałam. Gnojówka obok śmierdziała niemiłosiernie. Wrócił wreszcie przed samym wieczorem. – *Idziemy, jest mieszkanie!*

Wieś Podszkodzie

Osiem kilometrów od Ostrowca. Opuszczony, zdewastowany dwór w ogrodzie wydał nam się rajem. W jednej izbie z kuchnią mieszkało małżeństwo robotnicze, państwo Ramusowie. Ludzie już niemłodzi, po pięćdziesiątce, może więcej. Antoni Ramus – robotnik w Hucie Ostrowieckiej, chudy, wysoki, obok drobna, siwiuteńka, inteligencją przewyższająca męża, pełna wdzięku i temperamentu – pani Czesława.

Przedstawiliśmy się jako Małgorzata i Józef Bojanowscy – nauczyciel z Poznania z żoną. Byli nieco skonsternowani widokiem kobiety w ciąży, ale nie pytając nawet o dokumenty (których zresztą wtedy wciąż jeszcze nie mieliśmy, w razie potrzeby wyciągając jedynie fałszywe karty, sponzorowane przez Podziemie), przyjęli nas. Pokój dość obszerny, z piecykiem-kozą, obok korytarza, który później służył mi za pralnię pieluch i tych paru sztuk pościelowej bielizny, w które nas zaopatrzone.

Opiekę nad nami roztaczał w dalszym ciągu pan Edmund Reński i profesor Gimnazjum Ostrowieckiego, pan Jan Szymański, wraz z czterema córkami: Ewą Lipko, Wandą Wyszyńską, Haliną Kryczyńską i Danusią Szymańską.

Był to dom niezwykle i gniazdo konspiracji, gdzie rządziła rozważna mądrość profesora, którego wszyscy nazywali Tatą. My też. Poza tym bezprzykładna odwaga, granicząca z beztroską, wywodzącą się z niezwykle pogodnego usposobienia córek Taty, podczas gdy on sam był owszem pogodny, ale zawsze poważny, spokojny, zamyślony i mało mówny.

Mamy syna!

Drewniany dom z długim tarasem na pięterku w ogrodzie. Ten właśnie ogród utrzymywał tu wszystkich, zamieszkających na stałe, jak i przygodnych czy przygarniętych, ściganych lub uciekinierów z Warszawy. W pewnym momencie mieszkały tam dwadzieścia dwie osoby. Był to dom – azyl dla każdego zagrożonego.

Ciąża się przeciągała. Termin porodu dawno minął. Wreszcie nadszedł dzień, a właściwie noc rozwiązania. Mimo że mieliśmy również zapewnioną opiekę lekarską, nie było już czasu na wzywanie lekarza. Rano „ciotka Ramusińska” – bo tak ją



Irena Górską-Damiecka

nazywaliśmy – sprowadziła „babkę” ze wsi. Przyszła prosto od dojenia krów, zlustrowała i oceniła sytuację.

– *Trza wyciągnąć prześcieradło! Co się ma zszargać! Trza podłożyć chodnik, bo i tak brudny!*

Oczywiście nie usłuchaliśmy tej rady doświadczonej położnej!

– *Mocie jaką skorupę na łóżysko?*

Damian przyniósł czystą miednicę i zagołował wodę w garnku. Siedział obok mnie cały czas, przyciskając mi brodę do mostka.

– *Zeby nie wykrzyczała se gardzieli!*

Wreszcie po dziewięciu godzinach urodził

się chłopak, cztery i pół kilo. Z obrośniętą włosom twarzą! Byłam przerażona, ale Damian orzekł, że jest bardzo piękny. Babka zapewniała:

– *Zlizie!* – I poprosiła o nóż. – *Najlepiej od krojenia chłiba, to najzdrowiej!*

Odcięta pępownię, udarła skrawek od swego fartucha i tę pępownię zawiązała.

– *Niech wam się darzy!* – rzekła i nic nie biorąc za usługę, poszła.

Damian wyskoczył przed dom. Biegał między drzewami, między grządkami kapusty, płacząc i krzycząc: – Mam syna! Mam syna! Mam syna!

